ROZMAITOŚCI.

Dnia 11 stycznia, Ner. 2. roku 1845.

Czarny starosta.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce po tym wypadku powrócił stryj Kazimiry. Wiadomość o przybyciu owego kupca przejęła go zdziwieniem i radością. Pospieszył natychmiast do niego i długo z nim rozmawiał. Kilka jednak dni upłynęło, a nikt się jeszcze niemógł dowiedzieć, kto był właściwie ten nieznajomy przybysz, z którym pan podskarbi tak często miewał narady, i dla którego zawsze tak niezwykłe okazował uszanowanie.

Tymczasem zaludnił się znowu zamek; przybyło wiele gości, pomiędzy którymi i młody Mokronowski; zjechali się też sąsiedzi, i było tedy huczno znowu we dworze, a gdy wszyscy goście do zastawionego stołu usiedli, nie byłbyś się ich mógł doliczyć, tak tam mnogo siedziało, i tak nieustannie mieniący się, wesoły ruch tam panował.

Po pierwszym wiwacie, który dawnym zwyczajem na cześć Rzeczypospolitéj spełniono, podniósł pan podskarbi nanowo starożytny roztruhan w górę. Drugi wiwat należał się królowi; ponieważ jednak w téj chwili króla w Polsce nie było, przeto wypadało inne zdrowie ogłosić, a wszyscy obecni goście byli w najżywszém oczekiwaniu, komu gospodarz ten drugi wiwat poświęci. Dostojny Ossoliński wzniósł silną ręką puhar, i zawołał ku powszechnemu zdziwieniu biesiadników: »Niech żyje król!«

»Przyszły! Przyszły!« zagrzmiało głośno po sali.

»Teraźniejszy i przyszły! Znajdzie on się, panowie bracia!« dodał podskarbi.

Poczém, jakto zwykle bywało, zwróciła się rozmowa do spraw krajowych, które najrozmaitsze wywoływały zdania. Sporami i winem rozgrzane głowy unosiły się coraz żywiéj, a chociaż właściwie wszyscy do tego samego stronnictwa należeli, nie obeszło się bez ostrych przymówek i docinków. Matylda i Kazimira już były wcześniéj odeszły.

Po ukończonéj biesiadzie rozprószyło się towarzystwo. Niektórzy usiedli sobie na ogrodowych ławeczkach, aby tam w zaciszy ochłonąć z zapału sprzeczki i wychylonych wiwatów, drudzy w tymsamym celu wsiedli na koń, aby się przejechać trochę po polach, inni wreszcie udali się na pieszą wycieczkę wokoło zamku i wiedli dalej przerwaną pogadankę. W tyle zabudowań zamkowych rozciągał się dosyć obszérny ogród, który jeszcze przez ojca podskarbiego w miejscu dawnego przerzedzonego lasu, w francuzkim smaku owych czasów, był założony. Oddawna bowiem panowało w Polsce namiętne zamiłowanie wszystkiego, co z Francyi pochodziło. Szlachecka młodzież Polski, nie znała milszéj rozrywki nad podróż do Paryża i Wersalu, zkąd też przy osobliwszéj zgodności charakteru obu narodow, obok francuzkich wyobrażeń i pojęć, francuzki też smak we wszystkich zewnętrznych ozdobach i urządzeniach przyrosiła, co się zwłaszcza przy [illegible] budynków i ogrodów okazowało. Tak i obok [illegible] łowieckim zamkiem podskarbiego rozprzestrzeniał się duży zielony gazon, ozdobiony mitologicznémi figurami z piaskowca, ciągnęły się długie strzyżone szpalery, wznosiły zielone arkady, i bramy z ponaginanych gałęzi, a w samym środku ogrodu, w prostéj linii od zamku, znajdowała się znaczna, świecącym piaskiem wysypana przestrzeń, gdzie wkoło porozstawiane ławki miły spoczynek nastręczały. Tutaj zgromadziło się kilku ze starszéj wiekiem szlachty i rozprawiało głośno i żywo o głównym wypadku obecnéj chwili, to jest o nadchodzącéj elekcyi.

Właśnie gdy ich rozmowa w najlepsze się rozwiodła, wystąpił z bocznéj uliczki pan Ossoliński, prowadząc z sobą jakiegoś nieznajomego mężczyznę w niemieckim stroju. Z początku spojrzeli obecni panowie niechętnie na cudzoziemca, ale nieznacznie zamieniła się ich niechęć w ciekawe zadziwienie. Nowoprzybyły nieznajomy był człowiekiem średniego wieku i ujmującéj postaci; na jego twarzy malowało się pewne wzruszenie a niespokojnie błąkające się oczy przechodziły koleją całe obecne towarzystwo; nareszcie wzrok jego utkwił na najstarszym z całego grona, na Janie Tarle, wojewodzie lubelskim, który mu się również ciekawie przypatrywał, jakgdyby sobie przypominając, iż go już kiedyś widział.

»Prowadzę wam dawnego znajomego, mości panowie!» ozwał się podskarbi z dumą i radością. »Chociaż tylko dwaj albo trzej mieliście niegdyś zaszczyt znania go osobiście, jednakże imię jego wszystkim dobrze jest znane »

»Stanisław Leszczyński!» zawołał wojewoda lubelski, poznając go nakoniec.

To imię przeniknęło wszystkich jak błyskawica. Onto był, on, wygnaniec, który już raz przed laty nosił koronę polską, któremu wszyscy tu obecni, lub ich ojcowie, na wierność przysięgali; onto teraz wrócił upomnieć się swego dawnego prawa, i im się pierwszym odkrył, ich wierności najpierw zaufał. Jakby też natchnieni jego widokiem, postąpili młodsi ku swojemu byłemu królowi i zgięli przed nim w uszanowaniu kolana. Skromny Stanisław wzbraniał z rozczuleniem tego niezwyczajnego hołdu, gdy naraz wybiegła Kazimira, i z wyrazem uwielbienia zbliżyła się do króla. Przewidując jakąś ważną nowinę, nie mogła się dopóty uspokoić, aż ukryta za krzewami, usłyszała wyjawione nazwisko tajemniczego nieznajomego, któremu teraz z czcią i uwielbieniem królewską ucałowała rękę. Wraz z tym hołdem dziewicy rozległ się radośny okrzyk wszystkich obecnych daleko po ogrodzie.

»Dziękuję wam, mili przyjacieli;» rzekł król nareszcie, przemogłszy wewnętrzne wzruszenie, które zrazu słowa wyrzec mu nie dało. »Przyjaźne to przyjęcie przyjmuję za dobrą wróżbę, iż mi się powiedzie wszystkie sprzeczne stronnictwa pospołu złączyć przyjaźnią. Biorę niebo za świadka iż powracam w najczystszym zamiarze; jako prawy syn naszej wspólnej ojczyzny, mam tylko to jedno życzenie, aby ją szczęśliwą i wielką widzieć. Do tego chcę dążyć wszelkiemi siłami mémi; wy zaś, mości panowie, nie odmówcie mi pomocy waszego dzielnego ramienia, inaczej bowiem nie zdołam osiągnąć zamierzonego celu.»

Nowy okrzyk radości zabrzmiał w odpowiedź na proste słowa króla, które on wszakże tak rzewnym wymówił głosem, iż wszystkich serca ujęły. Wkrótce zbiegła się reszta gości i dworzan podskarbiego, chcąc się dowiedzieć co tak niespodzianego zaszło, a nim kilka chwil upłynęło, ujrzał się król Stanisław otoczonym od walecznego doboru najwierniejszych swoich stronników. Jaśniej jednak niż czyjekolwiek oko, spoczywał promienny wzrok Kazimiry na tym zdaleka przybyłym mężu, który jak gwiazda szczęścia wzejszedł nad jéj ojczyzną. Sama tylko Matylda pozostała się w głębi cienistych krzewów.

*

W pośrodku miasta Warszawy, na wysokiém wybrzeżu Wisły, wznosi się królewski zamek, zbudowany w owym czasie świeżo w francuzkim smaku, a zatém o tyle naówczas podziwiany, o ile teraz ze względu architektury ganiony bywa. Naprzeciw zamku, w ciasnym krętym zaułku starego miasta, zgromadził się był niezwyczajny tłum ludzi, zastępując drogę jakiemuś powozowi, który musiał stanąć na chwilę. Zniecierpliwiony woźnica klął co miał siły; z okien powozu wychyliła się niechętnie jakaś upudrowana głowa, w powozie zaś słychać było śmiech wesoły i kilka w języku francuzkim wyrzeczonych wyrazów, które nie były zupełnie niezrozumiane przez obecnych.

„Jestto któryś z saskich paniczów!» zawołał ktoś zpośród tłumu. »Żartuje sobie z nas, a przecież przyjeżdża tu z daleka, aby nam nadskakiwać.»

»Sza! Mokronowski,» odpowiedział sąsiad pierwszego — »Jestto wszystko prawda co mówisz, lecz dopóki góry nie weźmiem, należy się powściągać.»

Wtém, gdy tak mówił, trącił go jakiś przechodzień tak mocno, iż się zdawało, jakby to było z umysłu uczynione. Trącony ofuknął napastnika, ten się zatrzymał, położył rękę na szablę i mierząc dumném okiem przeciwnika — »Co waszmość żąda?» zapytał.

»To wy, panie Tarczyński?» ozwał się Mokronowski zamiast swojego towarzysza. »Czy znowu szukacie napaści? Zatrzymajcie się panie Tarlo! Mam ja dawniejsze prawa od was, do rozmówienia się z czarnym starostą »

»Jestem na wasze usługi, jeźli tego koniecznie chcecie;» odparł starosta sucho, i dobywszy szabli zawinął nią naokoło, aby sobie miejsce do boju zrobić. Stojący w pobliżu ludzie rozprószyli się z krzykiem, i otwarła się ciasna przestrzeń dla walczących. Zaczął się pojedynek, który wszakże po kilku wzajemnych cięciach nadspodziw prędko ustał. Ciężko raniona ręka Mokronowskiego opadła wnet bezwładnie, a czarny starosta oddalił się spokojnie z miejsca, niezważając na szemranie zgromadzonego ludu, który na pół oburzony, na pół trwożny szybko przed nim się rozstępował.

Z tego rozpierzchnienia tłumu chciał także korzystać powóz, który był przypadkowym powodem pojedynku. Ale zaledwie konie ruszyli, już i ciżba znowu się powiększyła, a zatrzymany powtórnie powóz, nanowo z miejsca ruszyć się nie mógł.

»Cierpliwości na chwilę! mój łaskawy panie i przyjacielu;» ozwał się w powozie ten sam głos, który przedtém swojémi francuzkiémi żartami tak był Mokronowskiego rozgniewał. »Niestety, nie jesteśmy tu w Dreźnie, gdzie pańskie powszechnie znane oblicze, a nawet sam widok loków pańskiej peruki byłby dostatecznym rozkazem do otwarcia nam tak szérokiej ulicy, jak jest ulica zamkowa.»

»Przyjdzie czas niezadługo, gdzie i tutaj będą ludzie znali większe dla nas uszanowanie, hrabio

Ortenburg;" odpowiedział ambasador saski, gdyż onto był, który teraz późnym wieczorem z jakiejś w sąsiedztwo uczynionej wycieczki wracał.

»*En attendant*," odrzekł hrabia Ortenburg, jeden z przybocznych kawalerów poselstwa — »nie pozostaje nam nic innego, jak zanieść modły do owego napowietrznego bohatera tam w górze, aby swoim dobytym mieczem raczył ten niesforny motłoch rozpędzić."

Słowa młodego Sasa tyczyły się posąga króla Zygmunta III, który wznosząc się na wysokim korynckim słupie, zdobi tę część Warszawy. Wnuk Gustawa Wazy, przywołany niegdyś z za morza na tron polski, stoi tam przyodziany zbroją i płaszczem, dzierząc w prawym ręku miecz, którym za życia nie nader srogo wojował, a w lewym krzyż, — na pamiątkę swego powrotu na łono prawowiernego kościoła, któremu przed laty jego dziad z całym szweckim narodem był się sprzeniewierzył. Jakgdyby w gniewie spoglądał król Zygmunt z góry na żartownisia, który wreszcie również jak jego starszy towarzysz zniechęcony, — »Nie rozumiem, doprawdy," — mówił dalej — »jak my tu w tym kraju celu naszego poselstwa dopiąć zdołamy, jeżli się cud jaki dla nas nie stanie."

Stary dyplomata spojrzał wzrokiem politowania na swego młodego towarzysza i rzekł z westchnieniem: »*Mon enfant*, nie mam ja wielkiéj nadziei, abyś daleko w swoim politycznym zawodzie zaszedł."

»Wkrótce ja też zawód ten skończę," odparł hrabia Ortenburg obojętnie. »Niech mi się tylko powiedzie osiągnąć to jak najprędzéj, po co tu przyjechałem, a zrzeknę się chętnie wszelkich planów ambicyi."

Pan ambasador kiwnął z uśmiechem głową, romantyczny zaś młodzieniec zatopił się w słodkie dumania, snując dalej wątek obudzonych w nim myśli, które go unosiły na przemian to w przeszłe lata młodości, wraz z pewną miłą przyjaciółką spędzonéj, to w blisko uśmiechającą się przyszłość, gdzie mu ona znowu powróconą być miała.

Wtém okazał się mały otwór pomiedzy tłumem a woźnica szarpnąwszy konie, pognał prędko w tęż stronę. Rozpędzając krzykiem i biczem snujący się nieustannie przed końmi motłoch żydowski, powiodło mu się wreszcie uwolnić swoich panów z tego nieprzebrniętego wiru, gdy tymczasem po oddaleniu się powozu, rozmaita ludność téj dzielnicy Warszawy, jeszcze gwarniéj zawrzała i do późnéj tłoczyła się tak nocy.

Lecz jeżli w tych ciasnych uliczkach starego miasta Warszawy codziennie taki natłok panował, témci bardziéj działo się to dni następnych. Coraz bliżéj bowiem nadchodziła pora elekcyi, a ze wszystkich województw garnęły się tłumy szlachty, posłów, do przepełnionéj stolicy. Teraz ani w pałacach magnatów, ani w najpodlejszéj gospodzie nie było o niczém innem mowy, jak tylko o przyszłym wyborze króla i spodziewanych ztąd skutkach. Na ulicy nawet tworzyły się co chwila kupy rozprawiających, a ile razy dwa przeciwne grona przypadkiem się spotkały, rzadko się kiedy obeszło bez sporów i krwawych zatargów. W takiéjto porze dopiéro czuła się wiecznie niespokojna i zawsze do boju gotowa szlachta w swoim najwłaściwszym żywiole.

Przy powszechnym zaś ruchu, który w podobnym razie ożywiał polską stolicę, nie zabrakło też na hojnym zysku dla żydów, którzy jako faktorowie, wekslarze, kupcy, częstokroć jako szpiegi i posłannicy umieli się uczynić niezbędną w każdym prawie interesie potrzebą. Najznakomitsi nawet panowie nie wzdrygali się używać tego pogardzonego ludu do swoich posług, a nieraz najważniejsze sprawy bywały jego przebiegłości powierzane.

Sam wielki kanclerz litewski, książę Michał Wiśniowiecki, miał takiegoż poufnego faktora — żydka. Wszedł on właśnie do gabinetu książęcego i dłużéj pół godziny tam bawił. Wracając zdybał na schodach dwóch udających się do księcia-kanclerza panów, którzy minąwszy umykającego pokornie żydka, wstąpili do przedpokojów.

Jeden z dworzan zaprowadził ich do pysznie ubranéj sali, gdzie książę zwykle gości przyjmował, i prosił ich zabawić się tam przez chwilę, oznajmiając bliskie nadejście swojego pana.

Obaj świeżoprzybyli zeszli się tu przypadkowo, i jak nie zdawali się być ni przyjaciołmi ni znajomémi, tak się też znacznie nawzajem od siebie różnili. Młodszy miał na sobie strój dworski, któryto z Wersalu po całych Niemczech się upowszechnił, to jest jedwabną haftowaną suknią z szerokiémi połami, krawat z bufiastémi żabotami, sutą napudrowaną perukę, a na niéj mały trójkątny kapelusik, który teraz zdjął z głowy i trzymał w ręku. Starszy byłto Polak średniego wzrostu i dobréj tuszy, chociaż przezto bynajmniéj nie pozbawiony owéj lekkiéj zgrabności, która wszystkich Słowian w porównaniu z innymi cudzoziemcami tak widocznie odznacza; postawa jego była szlachetna i śmiała, lubo nie zupełnie wolna od pychy, wyrażającéj się osobliwie w wyniosłém trzymaniu karku. Oblicze pięknych rysów, miało nieco brunatniejszą niż zwykle cerę, która jeszcze była przyćmiona kruczym, krągło na skroniach ostrzyżonym włosem, czarnémi owisłémi wąsami, a przedewszystkiém blaskiem ciemnych oczu, których żar tajemniczy nawet w spokojniejszych chwilach zdumiéwał, w mocniejszém zaś uczuciu miłości lub nienawiści czarował i przerażał. Bogaty strój narodowy dodawał jeszcze więcéj świetności jego niezwyczajnéj postaci. Miał na sobie ciasno przylegający, jasnoniebieski żupan, po

nim czarny fałdzisty kontusz, szerokim złocistym ujęty pasem, u którego krzywa, drogiemi kamieńmi wysadzana karabela wisiała. Wyloty kontusza były w tył zarzucone; na głowie miał żółtą czworograniastą czapkę, i takiegoż samego koloru na nogach safijanowe buty.

Po kilku oziębłe pomiędzy obydwoma nieznajomemi wyrzeczonych słowach, otwarły się drzwi boczne i wszedł książę kanclerz litewski. »Witam was, panie hrabio Ortenburg — witam panie starosto Tarczyński!» ozwał się do obudwóch. »Jesteście mi obaj nader miłymi gośćmi; wy, panie hrabio, jako posłannik swojego pana, którego wkrótce królem polskim powitam, — wy, panie starosto, jako wierny przyjaciel mojego domu, w którym wszakże zbyt was rzadko obaczyć można.»

»Wiadomo wam mości książę, iż nie lubię Warszawy;» odrzekł starosta Tarczyński po polsku na przemowę kanclerza, która z powodu obecnego cudzoziemca, hrabi Ortenburg, była po francuzku wyrzeczona. »Ale jeżeli książę pozwolisz, nie zaniedbam złożyć mu częściéj uszanowanie w jego domu.»

Książę-kanclerz odpowiedział grzecznie staroście, poczém wniesiono wina i rozmaite posiłki na srebrnych tacach. Dostojny gospodarz wychylił na powitanie zdrowie gości, którzy mu również odpowiedzieli. Widać było po saskim hrabi i po staroście Tarczyńskim, iż starali się przypodobać książęciu. Długo jednak toczyła się dość obojętna rozmowa, aż wreszcie schodząc z przedmiotów polityki na inne ogólne, a wkońcu na osobiste stosunki, zapytał książę-kanclerz młodego Niemca, czyli jego zmarłéj w Dreznie kuzyny nie znał.

Oblicze hrabiego Ortenburg zajaśniało widoczną radością. »O jakże mógłbym był nie znać tak zacnéj damy!» zawołał. »Śmiem owszem powiedzieć, iż zawsze bardzo łaskawą dla mnie się okazowała. Miałem zaszczyt bywać w jéj domu, gdyż mój ojciec żył w ścisłéj przyjaźni z podkomorzym de Raschau.»

»Więc znasz pan także moję siostrzenicę Matyldę?» zapytał książę z uśmiéchem. »Jest ona teraz tutaj, i możebyś jéj nawet nie poznał, taka się z niéj prawdziwa Polka zrobiła.»

Wzrok czarnego starosty spoczywał mocno, jakgdyby wzrok sokoli, na twarzy Ortenburga, który na to zapytanie zczerwienił się jak dziewczyna, chociaż tego stary książę-kanclerz wcale nie spostrzegł, ponieważ rzadko kiedy przy rozmowie w oczy się komu patrzył.

»Mam zaszczyt znać pannę de Raschau,» odrzekł hrabia Ortenburg zmienionym głosem, który nie uszedł uwagi Tarczyńskiego. »Lubo o kilka lat starszy jestem, spędziliśmy razem lata naszéj młodości.»

»Będzie się tedy cieszyć, gdy ujrzy towarzysza lat dziecinnych,» ozwał się książę. »Oczekuję ją dzisiaj właśnie z odwidzin, które się zbyt długo przeciągnęły. — Podskarbi ma dziś powrócić;» dodał obracając się do starosty, który niespokojnie wąsa pokręcał.

»Rad jestem z tego,» odparł żywo Tarczyński.

Odmienny głos, którym te słowa wymówił, zdziwił księcia-kanclerza; spojrzał na niego badawczym wzrokiem a potém zaczął znowu mówić o swoich krewnych, o dworze elektorskim, na którym niegdyś za panowania króla Augusta II dość często bywał; opowiadał wiele owczesnych satyrycznych anegdotek, które młodego Ortenburga, wychowanego przez bogobojną matkę w zasadach najsurowszéj skromności, dalekiéj od powszechnéj rozpusty tamtych czasów, raczéj gorszyły niż zabawiały; a tak wreszcie nadszedł czas do odejścia, i miano się pożegnać. Lecz starosta Tarczyński nie towarzyszył hrabiemu Ortenburgowi, gdy ten po wzajemnych ukłonach opuścił pałac książęcy. Został owszem z kanclerzem, który odprowadziwszy hrabiego tak daleko, jak tego etykieta dozwalała, powrócił znów do starosty i podając mu rękę, rzekł: »Teraz jesteśmy sami, i możemy mówić z sobą bez ogródki jako Polacy.» Jakoż w istocie brzmiało to, co teraz książę o powodach swojego trzymania z partyją saską wynurzał, wcale inaczéj niż owe w obec hrabi Ortenburga czynione oświadczenia. »Mamy jeszcze wprawdzie» — zakończył książę — »z potężnem stronnictwem do czynienia, lecz, jeźli się nie zwodzę, mam nadzieję pozbawić je bardzo znakomitéj podpory.»

»Kogożto książę myślisz?» zapytał starosta Tarczyński.

Książę Wiśniowiecki uśmiéchnął się tajemniczo i odrzekł: »Wam, panie starosto, mogę się z tém powierzyć: Jestto nikt inny, lecz sam podskarbi.»

Na te słowa zachmurzyło się czoło starosty. »Nie mam ochoty» — mruknął ponuro — »stać po téj saméj stronie, gdzie Ossoliński.»

»I czemuż nie, mój zacny przyjacielu?» zagadnął kanclerz. »Skoro jest przydatny do naszych wspólnych zamiarów, możemy mu pozwolić miejsca przy naszym boku, równie jak wielu innym, którzy także bardzo mili nam nie są, a których przynajmniéj tak długo cierpiéć musimy, dopóki naszym zamiarom służą. Ze zmianą okoliczności, wszystko się też odmieni.»

»Mam jednak skończyć z nim jeszcze sprawę, która jest dosyć ważną;» odpowiedział Tarczyński.

»Odłóż to, kochany starosto, do późniejszego czasu;» prosił książę Wiśniowiecki. »Zyskasz w powszechném uznaniu, gdy prywatę publicznéj sprawie poświęcisz.»

»Mniejsza oto, co ludzie o mnie myślą;» odparł starosta.

»Więc to nie prawda, co mi w sekrecie powierzono?« zapytał książę Michał. »Słychać było, iżeś panie starosto, powziął na polowaniu znajomość z młodą i piękną Ossolińską, i że to zdarzenie łatwo do zawarcia ściślejszych stosunków z jéj wujem przyczyniéby się mogło.«

Oczy starosty zaiskrzyły się silniejszym ogniem. »Co się tego tyczy,« — zawołał — »to się zupełnie omylono!« Lecz wyraz jego twarzy, którego nigdy przed nikim nie starał się ukrywać, okazował wyraźnie, iż słowa księcia Wiśniowieckiego dotknęły go w pewien sposób.

»Mówimy tu miedzy sobą,« ciągnął książę-kanclerz dalej — »i nie mamy żadnych tajemnic dla siebie. Mogę wam więc powiedzieć, co mi daje otuchę, iż zdołam przeciągnąć podskarbiego na naszą strone. Widzieliście może, panie starosto, ową piękną Saksonkę, moją siostrzenicę?«

»Widziałem ją;« odrzekł szybko starosta, poglądając ciekawie na kanclerza.

»Mówią, iż może sie podobać?« pytał się książę dalej.

»Jakto! Czyż może podskarbiemu?!« przerwał nagle starosta. »Twoja siostrzenica, mości książę, bawi przy Ossolińskim... I tąż więc wędką chcesz złowić starego franta?«

»Zwolna, panie starosto!« rzekł książę-kanclerz z uśmiéchem. „Zbyt ostrych słów dobiérasz, wyrzucając mi, iż moję własną siostrzenicę za niecną netę używam — co ledwie mój język wymówić może! Podskarbiego, męża nieposzlakowanych obyczajów, nazywasz starym frantem, chociaż on najwięcej o dziesięć tylko lat starszy od ciebie; a wreszcie« — dodał książę z powagą — »powiadasz jakby moja siostrzenica p r z y n i m bawiła? Czyliżem dobrze słyszał?«

»Chciałem powiedzieć, że w jego domu bawi!« zawołał żywo Tarczyński. »Na Boga się zaklinam, iżbym się z szablą w ręku z każdym rozprawił, ktoby śmiał najmniejszém słowem ubliżyć, mości książę, twéj krewnéj. Lecz gdyby Ossoliński, gdyby on, który już prawie pół wieku liczy, poważył się pomyśléć o twojéj pięknéj kuzynce, — gdyby on się spodziéwał, przycisnąć tę różę do swojéj piersi, gdzieby ona uschnąć musiała — ha!«

„Daj temu spokój, panie starosto;« ozwał się książę, kładąc rękę na podniesione ramię starosty. »Nadzieja wolna każdemu, chociaż nie każdemu się spełni. A jeźli nam ta nadzieja potężnego sprzymierzeńca uzyskać może, dlaczegoż mielibyśmy tę nadzieję mu odbiérać!«

»Jestto fałszywa gra!« zawołał żywo Tarczyński. »Któż nam zaręczy, że polegając na twojéj teraźniejszéj przyjaźni, mości książę, — nie wydrze ci potém gwałtem, co mu dzisiaj niby przyrzekasz!— Któż wié, iż mu się nie pdwiedzie zjednać sobie serce twéj siostrzenicy?... iż...«

»Mówię, uspokój się, panie starosto;« przejął łagodnie kanclerz. »Ta namiętność do niczego nie prowadzi. Cóż ztąd, gdyby mu się nawet powiodło pozyskać serce Matyldy? Sądziszże, iżby to wczémkolwiek na moje zamiary względem niéj wpłynąć mogło?«

»Więc postanowiłeś już o jéj losie, mości książę?« zapytał Tarczyński, przenikając płomiennym wzrokiem kanclerza.

»Nie uczyniłem tego jeszcze,« odrzekł mu zapytany. »Lecz możesz wnosić, iż z jéj posagiem nie wydam jéj za człowieka, który przez całe życie do przeciwnego stronnictwa należał, i powiększonéj tym związkiem władzy natoby tylko użył, aby jeszcze bardziéj nam szkodzić.«

»Wolnoż mnie tedy policzyć się w poczet spółzawodników o rękę twej siostrzenicy, mości książę?« zapytał starosta bez wszelkiego dalszego wstępu.

Książę wyciągnął z udaném zdziwieniem obie ręce ku niemu i rzekł: „Przyjmuję cię z całego serca, jako najmilszego dla mnie ze wszystkich. Bo i komuż miałbym ofiarować chętniéj rękę méj siostrzenicy, jeżli nie tobie, panie starosto, który jesteś najzaufańszym z moich przyjacioł, i prawdziwym mężem w całém znaczeniu tego słowa?«

»Dajesz mi tedy słowo, mości książę?« zawołał starosta uradowany.

»Daję, o ile to odemnie zależyć bedzie;« odpowiedział książę Wiśniowiecki. »Nie żądaj wszakże abym moję siostrzenicę przymuszał do oddania ci ręki. Zyskaj sobie jéj serce, a ja chętnie zawiązaną między wami przyjaźń potwierdzę.«

Podczas téj rozmowy słychać było na dworze turkot zajeżdżającego powozu, a wkrótce oznajmiono księciu przybycie panny de Raschau. Starosta pożegnał się z kanclerzem i wyszedł, otrzymawszy wprzód zapewnienie, iż jest każdego czasu mile w domu księcia widzianym. — Będąc na schodach zatrzymał się na chwilę i odetchnąwszy ciężko, uderzył ręką o szablę i rzekł do siebie: „Wiém czego pragnę! Jestto największa pochwała, jaką sobie każdy dać może, skoro umié znaleźć środki do osiągnienia tego, czego zapragnął.«

*

W niewielkiéj odległości od stolicy leży pamiętna w dziejach Wola, gdzie, odkiedy w Polsce elekcyje w powszechny zwyczaj weszły, cały naród wspólnie królów sobie obiérał, a nieraz przy nieuchronnéj sprzeczności stronniczych zdań i głosów, bratnia też krew się lała. Podobnież i dnia 28 sierpnia 1733 zawichrzyła niezgoda wyborcze zgromadzenie narodu i zerwano sejm elekcyjny. Objawiło się tu silniéj niż kiedykolwiek owe starodawne Rzeczypospolitéj prawo, które nadając każdemu posłowi władzę oparcia się powszechności, narażało wolne elek-

cyje na wszelkie zamachy zagranicznych podstępów, przekupstwa i zdrady. Każdy wprawdzie poseł, który tego niebezpiecznego prawa używał, czynił to z niebezpieczeństwem życia, lecz pomimo to wszystko, skutek ten sam pozostał, a cały naród czuwał tak zazdrośnie nad zachowaniem tego kosztownego przywileju wolności, iż daleko chętniéj spieszył przelewać krew na polu tych elekcyjnych sporów, niżli w boju z obcymi nieprzyjaciołmi, którzy corazto cieśniéj i bliżéj krępowali wielką omdlałą Rzeczpospolitę.

Nadaremnie prymas Potocki, jako rządzca państwa podczas bezkrólewia, przedstawiał w natchnionéj mowie: jak niezbędnie potrzebną jest ścisła jedność narodu w teraźniejszém niebezpieczném położeniu królestwa, jak haniebną jest rzeczą ulegać obcym wpływom i groźbom, — że tylko rodowity Polak zdoła zadowolnić życzenia narodu, że wreszcie przy zupełnéj jedności stanów, najjaśniejsza Rzeczpospolita ma jeszcze dość sił po temu, aby wszelkie usiłowania nieprzyjacioł w pośmiewisko obróciła. Nadaremnie przypominał złote czasy Zygmuntów, nadaremnie przytaczał świetne panowanie króla Jana III, i malował jasnémi kolorami zasługi i cnoty męża, któremu noszoną już raz koronę, powtórnie chciał przywrócić; przeciwne zdania stronnictw zanadto się już wkorzeniły, i nie mogły być już więcéj wspólną zgodą pojednane. Po długich dzikich swarach opuścił wielki kanclerz litewski pole elekcyi i ustąpił na Pragę, dokąd w oczekiwaniu dalszych wypadków dwa województwa za nim się oddaliły. Tak został sejm zerwany a wybór zniweczony. Pozostała szlachta zapalała się coraz większą namiętnością, a prymas Potocki, uniesiony niewczesnym gniewem, ogłosił tych wszystkich za nieprzyjacioł ojczyzny, którzy jego zdań nie dzielili. Nierozważny ten krok przyczynił się jeszcze więcéj do rozjątrzenia umysłów, z czego też i zagraniczni posłowie korzystać nie zaniedbali. Rossyja wyprawiła już znaczną armiję ku granicom litewskim, w celu popierania wyboru elektora saskiego, który w nagrodę tych posiłków, Kurlandyję ulubieńcowi cesarzowéj Anny, Piotrowi Bironowi nadać się obowiązał. Cesarza Karola VI ujęto uznaniem sankcyi pragmatycznéj, która jego córce Maryi Teresie dziedzictwo krajów austryjackich zapewnić miała. Przeciw Rossyi i Austryi wystąpił król francuzki Ludwik XV, który broniąc swojego teścia Stanisława Leszczyńskiego, stanowczo się oświadczył, iż wszelkie naruszenie wolnéj elekcyi Rzeczypospolitéj polskiéj, będzie uważał jako krok nieprzyjacielski przeciwko Francyi, i z bronią w ręku ukarze; przyczém Hiszpanija i Sardynija — wprawdzie cokolwiek zanadto od Polski odległe państwa — pomagać mu przyrzekły.

Nie przedsiębrano jednak zrazu żadnych nieprzyjacielskich kroków przeciw księciu Wiśniowieckiemu. Wyznaczono termin drugiéj elekcyi, a wielki kanclerz litewski powrócił znowu do swego pałacu w Warszawie, gdzie codziennie przyjaznemu stronnictwu huczne biesiady wyprawiał. I damy także okazowały się przy tych ucztach. Księżna-kanclerzyna przyjmowała z czarującą uprzejmością licznie zebranych gości, a piękna kuzynka jéj, Matylda, przyciągała mimowolnie swojémi powszechnie wielbionémi wdziękami niejednego zapalczywego przeciwnika na stronę saską. Zagraniczni posłowie unikali starannie wszelkiego otwartego udziału w tych stronniczych zebraniach, chociaż bardzo radzi nato patrzyli, gdy ich przyboczni kawalerowie na wszystkich zgromadzeniach i biesiadach bywali, przezco panowie ambasadorowie niemały wpływ na wszelkie stronnictwa wywierać mogli. Z tego powodu widywano też hrabiego Ortenburga codziennie w domu księcia Wiśniowieckiego, dokąd jeszcze i własne serce czułego pociągało młodzieńca.

Przy jednéj z takich biesiad postrzegł był hrabia Ortenburg Matyldę po raz pierwszy po długiém niewidzeniu. Poznał ją natychmiast skoro tylko wstąpił do sali. Stała pośród licznego damskiego grona i była jak się zdawało zajęta pilną rozmową z jakimś mężczyzną. I tego poznał też zaraz hrabia, byłto bowiem ten sam, którego już przy pierwszych odwidzinach u księcia-kanclerza spotkał — pan starosta Tarczyński.

Serce młodego kochanka pragnęło powitać jak najprędzéj towarzyszkę swojéj młodości, która mu teraz jeszcze droższą się stała; — jakże chętnie byłby się wyrzekł na zawsze tego otaczającego go blasku, gdyby był mógł w téj chwili najpierwéj do niéj pospieszyć! — Lecz surowa etykieta nakazowała mu wprzódy złożyć ukłon księżnéj i księciu, powitać przody mnóstwo dostojnych osób, pomówić z każdą kilka obojętnych wyrazów, a dopiéro potém wolno mu było posłuchać głosu serca. Lecz chociaż zdala od niéj, nie spuścił jéj z oka ani na chwilę. Jakże uprzejmie rozmawiała tam z owym czarnym starostą! Czyż się w niéj żadne nie odezwało przeczucie, iż najwierniejsze serce, jakie tutaj na ziemi dla niéj bije, tak blisko przy niéj się znajduje? Lub miałżeby się stać jéj obojętnym?.. Nagle oblał żywy szkarłat jéj lice: nie umiała udawać, uczucie niewinnéj piersi odbija się zawsze jasno w oczach i w twarzy. Nie była uprzedzoną że go dzisiaj obaczy, i dla tego nie mogła pokryć wzruszenia, jakie ją naraz gwałtownie owładnęło. Poprawiła w prawdzie natychmiast roztargnioną odpowiedź, którą była dała przed chwilą panu staroście Tarczyńskiemu, lecz zazdrość ma bystre oko. Płomienny wzrok starosty tkwił z coraz bardziéj rozpalającą się namiętnością na jéj nadobnych rysach, rozgrzewał się coraz silniéj u jasnego światła

jéj spojrzeń, które wszystkich niewymowną przenikały słodyczą — nagle zwrócił się lotem błyskawicy za śladem jéj pięknych oczu, gdy na widok kochanka zdradzieckim zapłonęła rumieńcem, i dostrzegł zbyt wyraźnie przyczynę jéj wzruszenia, bo słowa Ortenburga, które niedawno przy owém spotkaniu u księcia-kanclerza słyszał, nie zgasły jeszcze w pamięci Tarczyńskiego. Złowrogie drganie skrzywiło usta starosty, zapowiadając burzę, która w jego wnętrzu zawrzała; dziki wzrok jego powlókł się czarną chmurą; lecz Matylda nie uważała tego, jéj lice zajaśniało błogim uśmiéchem szczęścia, gdyż prowadzony przez księżnę, zbliżał się wreszcie do niéj tak długo utęskniony przyjaciel, którego widok był dla niéj jakgdyby pozdrowienie z dni jéj młodości.

»Przywodzę ci dawnego znajomego, kochana Matyldo;« rzekła księżna z uśmiéchem.

Spojrzenie Ortenburga wyrażało jéj to wszystko, co usta zamilczały. Matylda była niesłychanie zmieszana. Księżna uważała przenikliwym wzrokiem tę wikłającą się pomiędzy niemi zmianę ich uczuć, i zręcznym zwrotem skierowała rozmowę na gładszą drogę.

Przy stole siedział starosta Tarczyński obok Matyldy. Był on zrazu ponury i małomowny, lecz nieznacznie ożywiły się usta, szumne jego słowa spłonęły ogniem gorejącym mu w duszy, mimowolnie musiała Matylda podziwiać niezwykły sposób wyrażania się jego uczuć, i to przynajmniej przyznać, iż niebył pospolitym człowiekiem. Niewinnie — bo jéj serce nie miało w tem udziału — słuchała jego świetnéj, unoszącéj rozmowy, i niekiedy tylko padały jéj spojrzenia na tamtę stronę stołu, ku oddalonemu przyjacielowi, o którym ani wnosić nie mogła, aby miał wątpić o niéj.

Ortenburg siedział pomiędzy dwoma wojewodzinami, które musiał zabawiać, a które się przecież wciąż na jego roztargnienie skarżyły. Szczérze więc Bogu dziękował, gdy się wreszcie uczta skończyła, a swobodne zwyczaje towarzystwa, które również w Polsce jak i we Francyi naówczas panowały, wkrótce mu wolną chwilkę do niepostrzeżonéj rozmowy z Matyldą pozwoliły.

»Matyldo — czyż wszystko jeszcze między nami jak dawniej?« zapytał zcicha, podczas gdy jego oczy bystro wkoło czuwały, aby żaden niepowołany świadek nie przeniknął ich słodkiéj tajemnicy.

»To pytanie nie może panu szczerze z serca pochodzić;« odpowiedziała wzruszona dziewica.

»O moja — z duszy na wieki ukochana!« szepnął uszczęśliwiony, nie będąc wstanie żadném więcéj słowem wyrazić przemagającego uczucia. Jéj wzrok wilgotny spotkał się z jego wzrokiem. Oboje stali przez chwilę obok siebie w wymowniejszém nad wszelki wyraz milczeniu.

»Wszystko składa się podług najmilszych życzeń naszego serca;« zaczął Ortenburg znowu. »Czy mogę mówić z wujem pani?«

Matylda zadrżała na to pytanie, zawierające w sobie całą przyszłość jéj życia. I jakby nagłém spojrzeniem w uroczy, nieznany sobie dotąd kraj przeniesiona, wyrzekła prawie bez przytomności tylko to jedno słowo: »Julijuszu!« Lecz głos niewymownego uczucia, jaki się w tem jedném słowie odezwał, napełnił go roskoszą i zachwyceniem.

»Jestem niepodległym,« mówił daléj po cichu. »Wuj pani trzyma stronę mojego księcia, i dopomoże mu do osiągnienia korony; ja żadnych nié mam obawiać się zarzutów, gdyż żadna nienawiść stronnictw nie zachodzi pomiędzy nami. Dowiedziawszy się iż serce pani już rozstrzygnęło, zatwierdzi jego wybór, uwieńczy nasze szczęście, powrócimy nazad do ojczystéj Saxonii, ja zrzeknę się z radością mojéj posady przy dworze, osiędziemy na naszych pięknych dobrach nad Elbą, a Bóg pobłogosławi dnie nasze!«

To mówiąc ujął niepostrzeżenie rękę Matyldy; lekki uścisk był całą jéj odpowiedzią; poczém oddaliła się szybko od niego, i usilną wolą przytłumiła głębokie wzruszenie, które jéj niebieskie oczy jasnémi omgliło łzami.

Tak przeminęła najszczęśliwsza może chwila ich życia. Ani razu już więcéj nie powiodło się tego wieczora kochankowi pomówić kilka przelotnych słówek z Matyldą, — ale jakież uczucia, jakie urocze marzenia towarzyszyły obojgu w cichą noc po téj uczcie, i jakby promiennym łukiem otoczyły ich wszelkie nadzieje przy wstępie w nieznane kraje przyszłości!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 1szy i zawiera: 1) Machina do żęcia zboża, wynalazku p. Tyminieckiego. 2) Skuteczny środek przeciw zarazie bydła. 3) Summaryczny wykaz handlu monarchii austryjackiéj a w szczególe Galicyi w roku 1842. 4) Wiadomości handlowe. 5) Raporta handlowe od 21go grudnia z. r. do 6go stycznia r. b.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 1szy i zawiera prócz mód następujące artykuły: 1) Przypomnienia z podróży po kraju, przez Augusta Bielowskiego. 2) Nocna damka sieroty, przez Kornela U...... 3) O romancach i pieśniach hiszpańskich. 4) Lady Makbet, p. J. Dobrzańskiego.

Z Warszawy. Z końcem roku zeszłego okazały się tutaj następujące dzieła: Kaź. Wł. Wojcickiego *Niewiasty polskie*, zarys historyczny, uzupełniający ważną próżnię w pamiętnikach dziejów ubiegłych. — Au. Wi(lkońskiego) *Ramoty i Ramotki* literackie w 6 tomikach. — Karola Korwella *Niezapominajki*, noworocznik na r. 1845. — Nakładem i drukiem Orgelbranda wychodzą *Dzieje krzyżaków*, oraz ich stosunki z Polską, Litwą i Prusami, poprzedzone rysem dziejów wojen krzyżowych, czerpane z najlepszych źródeł i ozdobione 12stą rycinami na stali. Całe dzieło ma się składać z 2 dużych tomów, wydawanych mniejszémi zeszytami. Dotąd wyszły już dwa zeszyty. — Księgarnia G. Sennewalda ogłosiła: *Wspomnienia z Wenecyi*, kolei lipnicko-wiédeńskiej, Wiédnia, Karpat wadowickich, Frankfortu nad Menem i z przelotu z Krakowa do Tatr spiskich. Dziełko to w 2 tomach, oddzielną całość stanowiące, jest dalszym ciągiem *Podróży, przejazdek i przechadzek po Europie*, zebranych przez Ludwika Pietrusińskiego. Oprócz szczegółowego opisu Wenecyi, téj niegdyś królowéj morza, zawiérają te wspomnienia: przelot koleją żelazną Ferdinand-Nordbahn od Lipnik do Wiédnia, z wykazem stacyjów, ceny, przepisów i dogodności; następuje przechadzka po wale miejskim w Wiédniu; daléj przejazdka w Karpaty obwodu wadowickiego, a w szczególności wnijście na zajmującą Babią-górę. 2gi tom rozpoczyna Wpomnienia gór Taunus i Feldberg blisko Frankfurtu nad Menem; poczém skreślone są wjazd i trzy przechadzki po tém mieście; w przelocie zaś z Krakowa na szczyt Łomnicy w Tatrach, znajdują się obrazy Myślenic, Nowego Targu, Czorsztyna, Staréj wsi, Beli, Kiezmarku, Tatr spiskich i opis wzejścia na najwyższy

dostępny ich szczyt, czyli Wirch Łomnicki, 8.200 stóp paryzkich nad powierzchnię morza wyniosły.

Z Petersburga. W księgarni Kraja wyszło dziełko pod napisem: *Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś,* w fantastycznych opowiadaniach przez J. Barszewskiego, z poprzedzającym krytycznym rzutem oka na literaturę białoruską, przez Romualda Podbereskiego, z ryciną Rud. Żukowskiego, przedstawiającą główne sceny opowiadania, odbitą podług nowego sposobu w litografii paryzkiej.

Święta wielkonocne przypadają tego roku podług oznaczenia kalendarzów bardzo wcześnie, bo już 23 marca, co w bieżącém stuleciu tylko raz jeszcze, to jest r. 1856, ma się powtórzyć, a od roku 1818, w którym te święta 22 marca obchodzono, po piérwszy raz się zdarzyło. Musimy jednak uwiadomić publiczność, iż to oznaczenie świąt tegorocznych jest pomimo logarytmów Wegi, pomimo wytłoczonego na kalendarzach stęplu, i pomimo wszelkich astronomów — mylne, skoro następujące daty okażą się prawdziwe. Koncylijum Nicejskie przepisało, aby święta wielkonocne przypadały każdego roku w najbliższą niedzielę po pierwszej pełni księżyca, która się po zaczęciu wiosny wydarzy; gdyby zaś pełń księżyca w niedzielę przypadała, tedy ma być wielkanoc dopiero na przyszłą niedzielę wyznaczona. Tego roku wstępuje słońce dnia 20 marca, o 6 godzinie, 57 minut wieczorem w znak barana, i w tejże chwili rozpoczyna się wiosna. Najbliższej po tem niedzieli, dnia 23, o 9 godź. 45 min. wieczorem, przypada pierwsza pełń księżyca po zaczęciu się wiosny, i tegoż samego dnia jest oznaczona wielkanoc, a przeto — jeźli poprzednie przytoczenie było niemylne — i ów wyznaczony termin świąt wielkonocnych jest mylny i wszystkie tegoroczne kalendarze są nieprzydatne, gdyż wszelkie ruchome święta stosują się podług świąt wielkonocnych, a skoro w oznaczeniu tych ostatnich zaszła pomylka, więc i tamte mylnie oznaczone być muszą.

Największym znanym obrazem jest »koronacyja Napoleona« roboty sławnego Dawida. Ten obraz ma 30 stóp długości a 19 wysokości. »Wesele w Kanie Galilejskiej« pędzla Pawła Veronese, miane dotąd za największe malowidło liczy tylko 28 stóp długości a 16 wysokości. Dawid pracował przez trzy lata ciągiem nad pomienionem dziełem. Kopija tegoż obrazu, zdjęta najprzód pod jego okiem, a potém przez niego samego przerobiona, dostała się roku 1834 do Anglii a ztamtąd do Ameryki, gdzie w czasie pożaru spłonęła.

Piękność tajemnicza. W klasztorze *Sacré-Coeur* przy ulicy św. Dominika w Paryżu znajduje się pomiędzy pensyjonarkami dziewczyna, będąca istnym cudem piękności i talentów, jest bowiem bogata jak zaklęta królewna z »Tysiąc i jedna nocy«, — muzykalna jak święta Cecylija, przytem tańczy jak Taglioni, maluje jak mistrz najpierwszy, a dosiada konia jak sławny ujeżdżacz paryzki Aure. Jéj duchowne nauczycielki zamierzyły uzupełnić ile możności dobre wychowanie swojéj młodej pijastunki i dokładały przeto wszelkich starań, aby wykształcić jak najświętniej wszystkie owe talenta, które stanowią sławę wielkiego świata. Do tego jest nasza pensyjonarka córką cesarza, i to jeszcze nie jednego z owych krótkotrwałych cesarzów, co to rano bywają obwołani monarchami a wieczorem z tronu złożeni. Jej śliczny czarny włos, wijący się w długich lokach po szyi, jéj wnet teskliwie wilgotne, wnet hardo połyskające oczy, jéj bajecznej prawie drobności nóżki, jej ledwie że nie za małe rączki, jéj rzadkim oryjentalnym perłom podobne zęby, jéj wzrost wysmukły — nie mają nic równego sobie pod słońcem. Łatwo więc pojąć, że pobożne wychowawczynie klasztoru *Sacré-Coeur* z dumą na swoje dzieło patrzą, i nadzwyczajnie swoję wychowankę kochają; nie marzą też o niczem, jak tylko aby jéj jakiego godnego, dostojnego małżonka znaleźć i świetny los zapewnić. Tymczasem jednak zaczęła nasza tajemnicza piękność już dwudziestączwartą wiosnę życia, — a te wszystkie talenta, zalety, wdzięki, te półtora milijona posagu, które mają uszczęśliwić przyszłego jej małżonka, kryją się dotąd jeszcze w murach klasztornych. Młoda księżniczka nie dba o zaszczyty, majątek, chce tylko, aby jéj przyszły małżonek był sławnym mężem. Zgłaszało się już dwóch młodych książąt, lecz nie mogli nawet dostąpić szczęścia żeby ją tylko ujrzeć. Wskutek jakiegoś osobliwszego urojenia, lub może zbytecznego niezaufania potędze swoich wdzięków, wzbrania młoda pensyjonarka z ulicy św. Dominika, wszelkiego uprzedniego widzenia się z kochankiem — chce, aby ten, który się z nią ma żenić, zupełne pokładał w niej zaufanie. Ubiegający się o jéj rękę występują przed nią z wszelką przymilającą się układnością, na jaką tylko zdobyć się mogą, niebędąc wszakże wstanie widzieć swego bóstwa nawzajem, gdyż ona, zakryta wielką zasłoną, ogląda wszystkich do woli, nie widzialna sama nikomu. I nikt też jeszcze nie miał szczęścia podobania się tej Dyjanie klasztornej. Tymczasem zaś upływa rok za rokiem; być może iż piękne oczy dziewicy zaczynają uroczego blasku pozbywać, iż jéj wysmukła kibic nie jest już tak powiewną jak niegdyś; ale półtoramilijonowy posag wciąż się mnoży i mnoży, a tak zapewne nie braknie jéj nigdy na zalotnikach. Jakoż niedawno temu zasłyszał o tém pewien zawołany modniś paryzki, zwodziciel kobiét z powołania, a konkurent z potrzeby. Będąc miłośnikiem wszelkich romantycznych przygód, podejmuje się podbicia téj tajemniczéj a zwłaszcza tak bogatej piękności. Chce już raz skończyć tę zbyt długo ciągnącą się komedyję, powiada iż nie może opuścić tak pomyślnej sposobności, gdyż żona z dwumilijonowym posagiem nie zdarza się codziennie. Każe się więc zameldować w klasztorze i otrzymuje pozwolenie przedstawienia się niewidoméj piękności. Piérwsze wystąpienie wypadło dość pomyślnie; młody przystojny Edmund — takie jest imię naszego bohatéra — umiał się wcale podobać. Następują drugie i trzecie odwidziny, a za każdym razem okazuje się Edmund bardziej namiętnym, zachwycającym. Niezwyczajność stosunku, a osobliwie wielkość posagu rozbudzają potężnie jego ducha a prawie nawet i serce. Zalecać się zarazem obecnej i nieobecnej damie — było to najszczególniejszą z jego przygód miłosnych. Nakoniec mógł już wnosić, iż jest od niej kochanym. Ona, która tak wymyślną była dotychczas, przestała tą razą na salonowéj sławie nowego kandydata. Słowem, wszystko szło jsk najlepiej — aż jednego razu, nie mogąc już powściągnąć swej ciekawości, uniesiony Edmund zrywa zasłonę, zakrywającą mu jego wszelkiemi wdziękami wyobraźni ozdobioną kochankę, i widzi — mulatkę! — Edmund jest jeszcze dotąd do wzięcia.

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.